

**Przyleciała jaskółeczka.
Powieść**

КУПИТИ

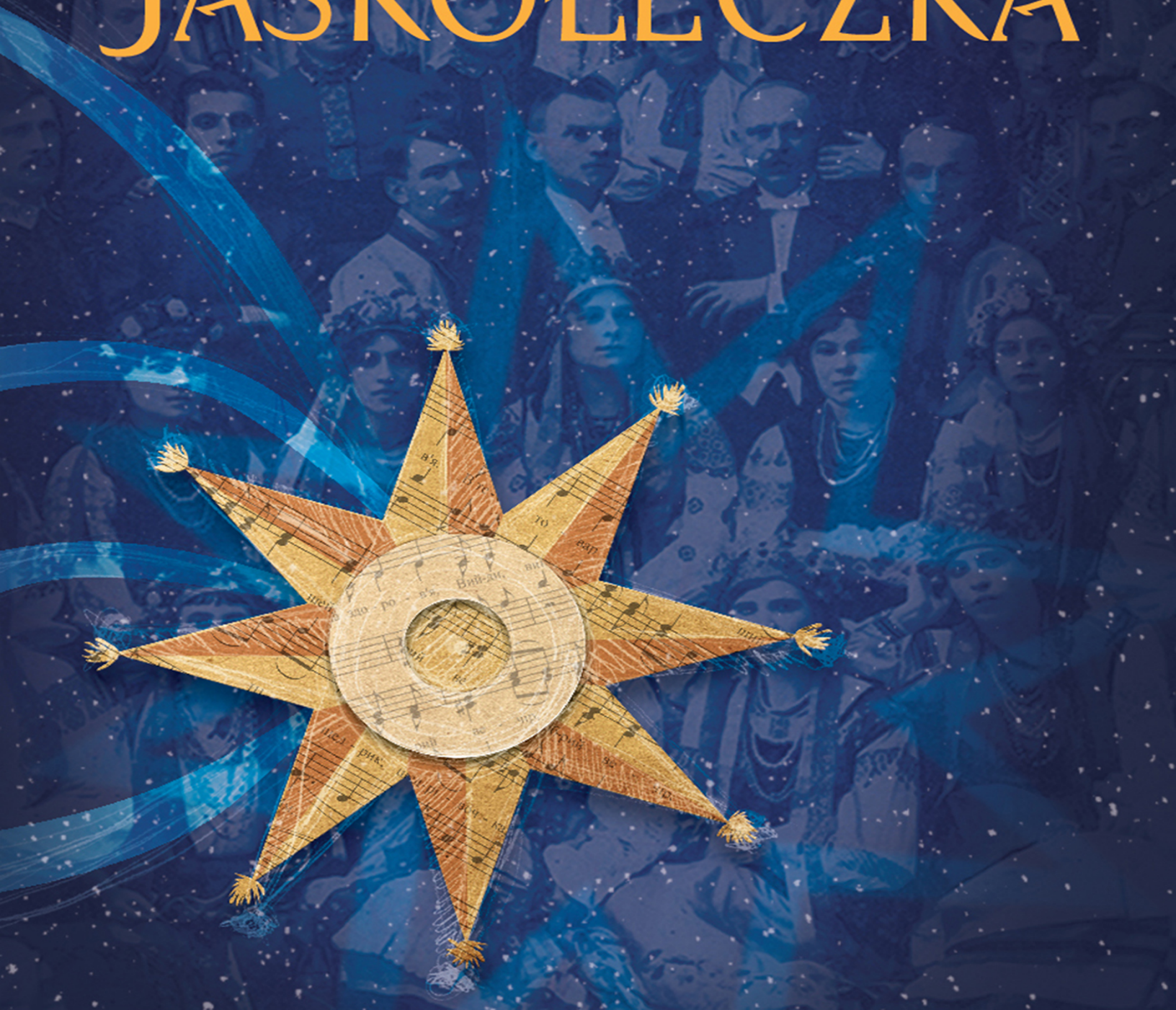
Pod koniec XX wieku w domu opieki w Stanach Zjednoczonych umiera dziwny pacjent o trudnym do wymówienia dla Amerykanów nazwisku Łeontowycz. Kim jest ten człowiek? Nazywał siebie bratankiem słynnego ukraińskiego kompozytora - prawdziwego autora kolędy znanej na całym świecie jako „Carol of the Bells”. Dlaczego autorstwo tej wspaniałej melodii przypisuje się innej osobie?

Utwór o nazwie „Szchedryk”, napisany przez ukraińskiego kompozytora Mykołę Łeontowycza, został po raz pierwszy wykonany w 1916 roku w Kijowie. Po rewolucji rosyjskiej w 1917 roku Ukraina ogłosiła niepodległość, ale została pokonana w wojnie z bolszewicką Rosją, a rządy sowieckie panowały przez długi czas. W 1921 roku kompozytor Łeontowycz został zamordowany przez czekistów w domu swojego ojca w tajemniczych okolicznościach.

Autorka książki „Przyleciała jaskółeczka” zaprasza czytelnika do poznania prawdy o słynnej melodii i przedstawia własną wersję tajemniczego morderstwa genialnego ukraińskiego kompozytora.

Iren Rozdobudko

PRZYLECIAŁA JASKOŁECZKA



Iren Rozdobudko

PRZYLECIAŁA JASKOŁECZKA

Powieść



Copyright © 2018 Nora-Druk
Copyright © Wydawnictwo BOHDAN

Redaktor naczelny: *Bohdan Budnyj*
Redakcja: *Miłosz Biedrzycki*
Tłumaczył: *Jurij Zawadski*
Korekta: *Word_Factor*
Projekt okładki: *Rostysław Kramar*
Projekt typograficzny, skład i łamanie: *Andrzej Krawczuk*
Redaktor techniczny: *Nela Domarecka*

ISBN 978-83-969403-1-5

This book has been published with the support
of the «Translate Ukraine Translation Program»

Książka została wydana dzięki wsparciu
«Translate Ukraine Translation Program»

**UKRAINIAN
//IIIIBOOK
INSTITUTE**

© BOHDAN BOOKS EU SP. Z O.O.
Domaniewska, nr 37 / 2.43
02-672 Warszawa Poland
bohdanbookseu2022@gmail.com

Pod koniec XX wieku w domu opieki w Stanach Zjednoczonych umiera dziwny pacjent o trudnym do wymówienia dla Amerykanów nazwisku Łeontowycz. Kim jest ten człowiek? Nazywał siebie bratankiem słynnego ukraińskiego kompozytora – prawdziwego autora kolędy znanej na całym świecie jako „Carol of the Bells”. Dlaczego autorstwo tej wspaniałej melodii przypisuje się innej osobie?

Utwór o nazwie „Szchedryk”, napisany przez ukraińskiego kompozytora Mykołę Łeontowycza, został po raz pierwszy wykonany w 1916 roku w Kijowie. Po rewolucji rosyjskiej w 1917 roku Ukraina ogłosiła niepodległość, ale została pokonana w wojnie z bolszewicką Rosją, a rządy sowieckie panowały przez długi czas. W 1921 roku kompozytor Łeontowycz został zamordowany przez czekistów w domu swojego ojca w tajemniczych okolicznościach.

Autorka książki „Przyleciała jaskółeczka” zaprasza czytelnika do poznania prawdy o słynnej melodii i przedstawia własną wersję tajemniczego morderstwa genialnego ukraińskiego kompozytora.

CZĘŚĆ PIERWSZA

Dom opieki, USA.

Grudzień 1997.

— ...jest w tym coś niesprawiedliwego. Coś, co niweczy cały sens życia. Unieważnia wszystkie aspiracje, pragnienia, uczucia, walkę o miejsce pod słońcem, miłość do bliskich. Kiedy widzisz to umieranie każdego dnia, myślisz: czy jest w tym jakaś sprawiedliwość? I tracisz sens wszystkiego. Wszystkiego! Myślisz: po co to wszystko — starania, cierpienia, zwycięstwa i sukcesy? Jaki to ma sens? Tracisz wiarę w istnienie Boga, ponieważ On nie przemyślał ostatecznego wyniku.

— Staram się o tym nie myśleć. Po prostu wykonuję swoją pracę. Nie martw się o to. Nie jesteśmy wieczni, jest tylko jeden koniec...

— Tak. Ale dlaczego taki jest ten koniec? Co zrobiliśmy, żeby tak było? Nadciśnienie. Duszność. Arytmia. Tachykardia. Alzheimer...

— Cóż, nie dla wszystkich! Spójrz na pana Nicholasa z pokoju trzydzieści sześć! Ma dziewięćdziesiąt dziewięć lat, a głowę świeżą jak poranek. Nawiasem mówiąc, wciąż potrafi przeklinać. Kiedy mówi coś w swoim języku, od razu rozumiesz: przeklina! I to pewnie poważnie, bo mamrocze przez co najmniej minutę. Nawet się tego nauczyłam: „Dzidzka łysoho”. Szkoda, że nie wiem, co to znaczy. I nie pozwala, żebym zabierała go na imprezy. Mówi, że nudzą go amerykańscy staruszkowie. Jakby nie był Amerykaninem!

— Pan Nicholas jest jedyny w swoim rodzaju. Ale oto kolejna tragedia: słabość ciała i jasność umysłu. To jest jeszcze gorsze: ciało jest szmatą, a dusza jest młoda. To ostry dysonans. Napawa goryczą. Jednym słowem, bez względu na to, jak się to pokroi, okazuje się to, przepraszam, bzdurą!

Kazano im się uczyć.

Pielęgniarka i sanitariusz spojrzeli po sobie i zamilkli, obserwując chór zbierający się na prowizorycznej scenie.

Najpierw ustawił się pierwszy szereg. Jeśli można to nazwać szeregiem.

Pan Pete wjechał na wózku inwalidzkim.

Pani Christensen przeszła obok niego, opierając się ciężko na czworonożnym chodziku.

Trzeci był pan Willis, wsparty na kuli.

Drugi szereg składał się z siedmiu „wolnych spacerowiczów”.

Zostali oni ustawieni przez przełożoną opiekunek zgodnie z wymaganiami pana Greenwaya, byłego dyrygenta i faktycznego szefa chóru amatorskiego: basy po lewej, tenory po prawej. Następny szereg, „młodzież”, to sześćdziesięciokilkulatkowie, którzy zajęli miejsca na podium, pięćdziesiąt centymetrów nad drugim szeregiem.

Prowadziła ich pani Mary Orlade, primadonna chóru. Miała na sobie szyfonową sukienkę i futrzane bolerko: ze strzyżonych norek wystawały figlarne ogony arktycznych lisów. Jej niebieskie włosy były starannie ułożone w gęste loki na całej głowie, usta pomalowane na czerwono, a w uszach miała diamentowe łezki. Jej adorator, pan Golding, zamożny wdowiec, bon vivant i patron tego zespołu, patrzył na nią i uśmiechał się.

W rzeczywistości wszyscy chórzyści wyglądali odświeżenie. Mężczyźni ubrani byli w garnitury z motylami, kobiety miały rzędy pereł, a w ich włosach błyszczały ozdobne spinki. Wszyscy pachnieli perfumami.

Pokój wypełniał aromat kawy i choinki, która była powoli dekorowana przez opiekunki.

Za szerokimi oknami — czystymi i przejrzystymi — powoli wirowały płatki śniegu, przypominając, że święta Bożego Narodzenia już za kilka dni.

W takich chwilach dom opieki był przynajmniej w jednej trzeciej pusty. Dzieci i wnuki zabierały pensjonariuszy na „wakacje” nad ciepłe morza, niektórzy wyjeżdżali sami, otrzymawszy dyspensę od głównego lekarza i zalecenia na wypadek przykrych niespodzianek z ciśnieniem. Ci, którzy zostali, by świętować na miejscu, musieli przeciwiczyć swój tradycyjny występ bożonarodzeniowy dla krewnych i gości.

Od końca listopada pan Greenway codziennie zbierał swoją śpiewającą armię, układając głosy, nakazując „trzymać dźwięk” i „dawać znać tylnemu szeregowi”, dopóki nie miał wystarczająco przyzwoitego chóru, którego nie wstydziliby się zaprezentować publiczności podczas świąt.

Pan Greenway stuknął batutą w pulpit.

— Śpiewamy, panowie. Skoncentrujmy się na „mi”.

— Mi-mi-mi... — chórzyści próbowali trafić w nutę, która była nieuchwytna dla ich chrapliwych głosów.

Dopóki pan Greenway nie kazał im przejść do „la”.

Trwało to pół godziny; w tym czasie zrobiono przerwę na masowy pomiar ciśnienia krwi i zażarte kłótnie na temat szczęśliwców, którzy będą lepiej widoczni w pierwszym szeregu. Pani Ortlade musiała przesiąść się na wózek inwalidzki, aby się tam dostać.

Kiedy wszystkie spory zostały zakończone, rozpoczęła się „ostateczna próba”.

Pan Greenway podniósł ręce i dał pierwszy znak:

— Ta-ta-ta-ta!...

Chór wziął głęboki oddech i już miał zrobić wydech, odtwarzając dźwięk, gdy do pokoju trafił kolejny mieszkaniec.

Ten sam, o którym mówili pielęgniarzka i sanitariusz — pan Nicholas.

Prowadziła go panna Jenny, o czarnej skórze i wielkich oczach, która jako jedyna potrafiła przekonać kapryśnego starca do spaceru po korytarzu.

Szeptała coś do owłosionego ucha starszego pana o świętach, indyku, śniegu, który w tym roku pokrył całą okolicę, o choince, którą koniecznie powinien zobaczyć na własne oczy, i o niespodziance, którą przygotował dla niego chór.

Nogi starca owinięte były w kraciasty koc, jego sztywne, długie palce kurczowo ścisnęły ramiona wózka, jakby chciał wstać, a cienka, wiotka szyja o skórze szorstkiej jak kora drzewa z trudem utrzymywała ciężką głowę.

Oczy pana Nicholasa były na wpół zamknięte. Wyglądał, jakby spał albo udawał skrajną obojętność.

Pielęgniarka i sanitariusz spojrzeli po sobie i skinęli na Jenny. Ta postawiła wózek przed chórem i przeprosiła pana Greenwaya za hałas.

Pan Greenway skinął głową i machnął rękami. Twarze chórzystów rozświeciły się jak latarnie na ciemnej ulicy, zanurzając się w świat melodii z całą pasją, która wciąż kipiała pod ich wzruszającymi, kruchymi ciałami.

Panna Jenny nachyliła się do ucha staruszka: „Nicholasie, kochany, ta piosenka jest dla ciebie!”. A chór odpowiedział donośnie:

*Hark how the bells,
sweet silver bells,
all seem to say,
throw cares away
Christmas is here,*

*bringing good cheer,
to young and old,
meek and the bold!*

Pilnie zaokrąglając usta i figlarnie mrugając oczami, chórzyści, o dziwo, śpiewali zaskakująco dobrze, uważnie podążając za gestami dyrygenta.

*Posłuchaj, jak dzwonki,
słodkie srebrne dzwonki,
wszystkie wydają się mówić:
odrzuć troski.*

*Święta są tutaj,
wnoszą dobry nastrój
młodym i starym,
potulnym i śmiałym!*

Panna Jenny była tak zajęta słuchaniem, że nie zauważyła, jak głowa jej klienta drgnęła, jakby siedział na krześle elektrycznym, a jego palce ściskające poręczę wózka zbieleły.

*Merry, Merry, Merry, Merry Christmas,
Merry, Merry, Merry, Merry Christmas...*

Pani Ortlade jako pierwsza zauważyła incydent.

— Panu Łeontowyczowi jest niedobrze! — wykrzyknęła, przerywając śpiew.

Chór zamilkł.

Starzec sapał, łapiąc powietrze.

Jenny krzyknęła, pochyliła się nad wózkiem.

— Panu Łeontowyczowi jest niedobrze! — rozległo się w salonie.

Sanitariusz, pomagając koleżance, chwycił za uchwyty wózka i potoczył go w kierunku wyjścia.

Jenny dopasowywała do ust starca maskę tlenową, którą zawsze trzymała w pogotowiu.

— Lisa, Steve! Atak serca! — krzyknęła Jenny. — Na pogotowie!

Chór zaczął krzyczeć bezładnie w reakcji na to wydarzenie.

— Trzymaj się, Nicholasie! — zawołał pan Pete.

— Jest pan optymistą, Pete — powiedziała ironicznie pani Christensen, poprawiając włosy. — Pan Łeontowycz ma prawie sto lat.

— Przeżyje nas wszystkich — powiedział z zazdrością pan Willis.

Dyrygent stuknął batutą w pulpit. Ponownie podniósł ręce.

— Proszę państwa! Kontynuujmy...

Ślq i ślq

bez końca

radosny dźwięk do każdego domu!

Ding-dong...

2

...Wózek delikatnie wibrował na gumowych kółkach na parkiecie.

Jenny podparła głowę starca. Mężczyzna konwulsyjnie nabierał powietrza przez maskę, a jego oczy były szeroko otwarte, jak u tonącego człowieka wynurzającego się na powierzchnię.

Opiekunka Lisa pobiegła w ich kierunku. Sanitariusz Steve pchał wózek z całych sił.

Wyglądali jak w scenie z serialu telewizyjnego „Ostry dyżur”, hitu sezonu.

— On umiera — wyszeptał Steve.

Jenny zamrużyła gniewnie: cicho, może cię usłyszeć.

Steve uśmiechnął się.

Starszy pan Nicholas rzeczywiście miał dziewięćdziesiąt dziewięć lat.

Mieszkał w tym domu przez dwadzieścia z nich, w pełni wspierany przez swoją diasporę. Pieniądze wpływały regularnie. Jednak sami członkowie społeczności nie odwiedzali go często: pan Nicholas kategorycznie odmawiał kontaktu ze swoimi dobroczyńcami, powołując się na złe wspomnienia z młodości. Synowie również nie odwiedzali staruszka. Chociaż wiadomo było, że istnieją i mieszkają w różnych częściach Ameryki.

Być może są wnuki...

Steve jeszcze raz spojrzał na starca i wzdrygnął się: ten patrzył prosto na niego i dość surowo, jakby naprawdę usłyszał jego słowa. Ale najprawdopodobniej był to skurcz.

Wózek dotarł na oddział intensywnej terapii, który zawsze był przygotowany do przyjmowania pacjentów w nagłych przypadkach.

Lekarz dyżurny Bill Janson wbiegł do środka, zapinając guziki swojego niebieskiego kitla.

Starzec został ostrożnie zdjęty z wózka i przeniesiony na wysokie, wygodne łóżko. Bill zrobił zastrzyk. Jenny zmierzyła mu ciśnienie, a Steve dociskał maskę tlenową, wciąż obserwując nieruchome, ale raczej zdrowe spojrzenie jego podkrążonych oczu.

Po około piętnastu minutach wszyscy popatrzyli na siebie z ulgą: starzec oddychał i powoli dochodził do siebie.

— Czy to już koniec? — zapytała Jenny nie swoim głosem. Bill Janson wzruszył ramionami i dotknął żyły, która tętniła mu w gardle.

— Hmm... Musimy zabrać go do szpitala. Udzieliliśmy pierwszej pomocy na czas. A tam... Jak Bóg da... Pan Leo, o dziwo, jest w dobrym zdrowiu.

Jenny delikatnie poklepała pana Nicholasa po głowie.

— Witaj z powrotem, Nick! Wystraszyłeś nas. Teraz już wszystko będzie dobrze. Zabierzemy cię do szpitala i...

Jej kojący pomruk został nagle przerywany przez ochrypły i dość natarczywy głos:

— Co to, do cholery, jest szpital? Teraz potrzebuję tylko jednego lekarza...

To była niespodzianka.

Przynajmniej jak na człowieka, który pół godziny temu dostał konwulsji. Oddychając ciężko po każdym słowie, ale jak zawsze kategorycznie, starzec wypowiedział jeszcze kilka zdań:

— Ksiądz... Zadzwoń do księdza.

I dodał błagalnym szeptem, zwracając się do Jenny:

— Księdza z ukraińskiej cerkwi... Chcę się wyspowiadać...

Jenny spojrzała pytająco na lekarza.

Ten przytaknął:

— Rób, co mówi.

Pan Nicholas trzymał się ręki kobiety.

— I proszę, pospiesz się... Wciąż... czekam...

Jenny skinęła głową i pospiesznie wyszła z pokoju.

3

Po niecałej pół godzinie Jenny prowadziła korytarzem młodego księdza, „Ojca Mychajła”, wyciągnąwszy go z kościoła po porannym kazaniu.

Pobiegł za nią, zapinając koszulę, i sprawiał wrażenie poważnego i podekscytowanego.

W rękach trzymał małą walizkę z rzeczami potrzebnymi do spowiedzi.

Najstarszy członek tej instytucji był legendarny wśród parafian. I chociaż prawie nikt z nich nie znał go osobiście ze względu na jego trudny charakter i powściągliwość, wszyscy zaangażowani w działalność charytatywną byli niezwykle dumni, że opiekują się tak wybitną osobą.

Krążyły pogłoski, że poprzednik ojca Mychajła nakazał mu opiekować się swoim byłym rodakiem z całym szacunkiem, na jaki mógł się zdobyć — aż do jego ostatniego dnia.

Tak więc ojciec Mychajło miał być pierwszym, który doświadczy objawień legendarnego starca. Dlatego był zdenerwowany, jakby miał przyjąć pierwszą komunię.

Zatrzymując Jenny w drzwiach, spytał niezręcznie:

— Może powinienem się przebrać gdzieś na korytarzu?

Jenny spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Mam na sobie dzinsy... — ojciec Mychajło wyjaśnił jeszcze bardziej zakłopotany i zaszeleścił plastikową torbą zawierającą jego sutannę.

— Niech się ojciec nie martwi — uśmiechnęła się Jenny — pan Łeontowycz jest bardzo nowoczesnym człowiekiem. W pokoju jest mnóstwo miejsca na przygotowanie się do spowiedzi.

Otworzyła drzwi, cicho zerknęła, by sprawdzić, czy jej podopieczny się obudził, i gestem poprosiła księdza, by wszedł. Ten jeszcze raz wygładził koszulę i z niepokojem wkroczył na oddział.

Chudy, siwowłosy mężczyzna leżał na wysokim łóżku, na białej pościeli, jakby na śniegu.

Odwrócił głowę, a w jego oczach widać było ulgę.

Ojciec Mychajło odwzajemnił uśmiech i skinął na Jenny: może pani iść.

Pieczęłowicie zaczął rozkładać na sąsiednim łóżku wszystkie potrzebne przedmioty — sutannę, komżę, krzyż. Ubierał się powoli, ledwo

powstrzymując mimowolne drżenie rąk.

Kilka minut później siedział na krześle przy łóżku umierającego mężczyzny przygotowany. Delikatnie, ale nie bez niepohamowanego, niemal „świeckiego” zainteresowania, dotknął wąłego ciała.

Jak zacząć?

Zaczął od cichej modlitwy, ale nie skończył, bo usłyszał trzeszczący, zniecierpliwiony głos z łóżka:

— Ojcze, nie mam zbyt wiele czasu. Obawiam się, że nie zdążę.

Ojciec Mychajło skinął uspokajająco głową.

— Panie Łeontowyczu, jest pan niewątpliwie porządnym człowiekiem. Rozgrzeszę pana z grzechów, zarówno powszednich, jak i niepokutnych, zgodnie z sakramentem obrzędu i...

Starzec potrząsnął głową. Jego dłoń z długimi, żółtymi jak воск palcami leżała na piersi, powstrzymując sapanie.

Powiedział, oddychając ciężko:

— Nie jestem Łeontowycz... Nazywam się Stepan Dobrowolski...

Przerażony ksiądz odchylił się w fotelu...

*Kijów,
25 grudnia 1916.*

...Uniwersytet Świętego Wołodymyra wieczorem był pełen ludzi.

Zamiast wracać do domu po wykładach, tłum studentów i wykładowców ruszył po marmurowych schodach do wielkiej sali.

Z największych audytoriów, które zostały przekształcone w oddziały szpitalne, napływali ranni, ubrani w płaszcze narzucone na białą bieliznę, czasem poplamioną brunatną krwią.

O kulach lub bez, przepychali się przez tłum w towarzystwie pięknych siostr miłosierdzia. Ludzie z szacunkiem, choć nie bez irytacji, ustępowali im miejsca.

Na dole, w szatni, portier odbierał ubrania niekończącego się szeregu gości, zastanawiając się, czy wystarczy wolnych wieszaków na ich futra i płaszcze.

W końcu zdecydował się złożyć ubrania studentów razem i powiesić tylko futra i płaszcze szanowanych ludzi. A publiczność przybyła jak żywioły, wypełniając mury starej instytucji śmiechem, hałasem i szczególnym, dawno zapomnianym podnieceniem spokojnych dni.

Jednocześnie niektórzy młodzi ludzie nadal opuszczali swoją Alma Mater. W większości byli to „technicy” i studenci-wolontariusze, którzy spieszyli się na dyżury w szpitalach. Ale nawet oni zatrzymali się, by popatrzeć z zachwytem, jak grupki młodych dam w identycznych czarnych spódnicach spływają po marmurowych schodach, świergocząc i strząsając płatki śniegu z włosów.

Z dołu, skąd patrzyli na nie studenci — i to był najlepszy kąt! — można było nawet dostrzec białe koronki halek, które jak baranki w morzu wyłaniały się spod sukien prawie jak u zakonnic.

— Co to za parada? — spytał Iwan Riabkow, student ostatniego roku Wydziału Fizyki i Matematyki.

— Nie widziałeś plakatów? — Przyjaciel o zabawnym nazwisku Charapudzenko klepnął go w ramię. — To są panie ze szkoły muzycznej.

— Co jest na tym plakacie?

— Jak to co! Premiera świątecznego programu kompozytora Łeontowycza z Tulczyna! Jego utwory wykona chór studencki pod dyрекcją pana Koszyca. Świąteczny koncert!

— Nie idziesz z nami? — zapytał trzeci student.

— Nasz wielki matematyk ma dziś spotkanie w Towarzystwie Aeronautycznym na Politechnice! Oblicza wzór na pętlę Immelmana! — odpowiedział za Riabkowa inny student. — Dla monsieur Riabkowa muzyka to nonsens. Prawda?

Riabkow zmarszczył brwi.

Dzisiejszy dzień był rzeczywiście ostatnim spotkaniem klubu przed wakacjami, a legendarny pilot Wiaczesław Matwiejewicz Tkaczow, inspektor lotnictwa armii Frontu Południowo-Zachodniego, osobiście obiecał wziąć w nim udział. I żaden koncert nie mógł stanąć temu na przeszkodzie.

Ale ogólne świąteczne szaleństwo, które ogarnęło uniwersytet, napełniło Iwana żalem, jakby życie leciało w postaci połyskujących dziewczęcych spódniczek, szybkich butów i loków mokrych od śniegu.

Pomimo wszystkich jego wysiłków to życie przelatywało obok niego, stukało srebrnym skrzydłem w jego skroń i odchodziło, nie pozostawiając mu ani umysłu, ani serca. A prawdziwe, pełne przygód życie, o którym marzył, do którego się przygotowywał, odkąd dowiedział się o rekordowym locie Tkaczowa na newporcie z Kijowa do Jekaterynodaru przez Odesę, Kercz i Tamań w 1913 roku, było poza zasięgiem.

Potem dwukrotnie próbował dostać się do korpusu kadetów w Sumach, a następnie w Odessie. Na próżno. Zawiódł go wzrok: Riabkow okazał się osobą nierozróżniającą kolorów. I, jak teraz uważał, „podczłowiekiem”. W końcu drobna wada, gdyby dotyczyła kogoś innego, przekreślała wszystko, co wydawało mu się jedyną ważną rzeczą. Musiał wybrać Wydział Fizyki i Matematyki i podjąć amatorskie lekcje w Kijowskim Towarzystwie Aeronautycznym Politechniki Kijowskiej. Bez żadnej nadziei na latanie samolotem.

— Tak, to nonsens — potwierdził Riabkow. — Muzyka to tylko zestaw wzorów algebraicznych. Pitagoras to udowodnił.

Wszyscy zaśmiali się razem, klepiąc Iwana po ramieniu.

Charapudzenko zmrużył jednak chytrze oczy:

— Cóż, bracie, jeśli nie lubisz muzyki, to... Sam to powiedziałeś — parada! Takie dziewczyny to nie złudzenie!

— Tak, będą śpiewać w pierwszym rzędzie! — dodał student w okrągłych okularach i mrugnął porozumiewawczo do kolegi, cytując wers popularnego wśród młodzieży poety: — Twoje oczy są jak studnia...

— Panowie, panowie, już czas! Zajmijmy miejsca!

Studenci przebiegli w hałaśliwym tłumie obok Riabkova i na przemian klepali go po ramieniu i wykrzykiwali wersy wiersza:

— „...czysta jak perła”!

— „A nadzieja jest jak najjaśniejsza gwiazda”!

— „Od nich migocze do mnie”!¹

Iwan obserwował ich przez kilka sekund z irytacją.

Następnie odwrócił się.

A los, chwytając za dziurkę od rozpiętego guzika, poprowadził go po schodach za wszystkimi innymi.

¹Wersy z wiersza Iwana Franki.

Audytorium przypominało komorę pełną nowiutkich nabojów ze złotą główką.

Rzędy wypełnione były zaproszonymi gośćmi, nauczycielami, profesorami i kilkoma szczęśliwymi studentami, którym udało się zająć miejsca na długo przed rozpoczęciem koncertu.

Ranni żołnierze usiedli na bocznych krzesłach między rzędami.

Reszta mniej wyrafinowanej publiczności — w dwóch, a nawet trzech rzędach — ustawiła się pod ścianami i stłoczyła w przejściach.

Riabkow, który był wysoki, zajął miejsce pod prawą ścianą przed lasem głów i zdecydował, że musi obejrzeć przynajmniej początek, aby mieć coś do powiedzenia jutro, kiedy będą omawiać to wydarzenie. Stojąc w tłumie, czuł się ociężałe i nieswojo, jakby był rybą postawioną do pionu.

Przyglądał się scenie.

Chór studentów uniwersytetu już ustawiał się w rzędzie. Riabkow ironicznie spojrzał na nieśmiałych lub zbyt wątplych wokalistów.

Nad ich głowami widniała grupa chłopców w haftowanych koszulach, wszyscy uczesani w ten sam sposób.

Zespół śpiewaków przemieszczał się, wyrównując szyk, szukając sobie wygodnego miejsca, patrząc z ekscytacją na publiczność, uśmiechając się do przyjaciół. Król koncertów, kaszel, przemieszczał się falami z kąta w kąt, siedzenia krzeseł skrzypiały, studenci pierwszego roku chichotali i zerkali na nich.

Gwar ucichł, gdy na scenie pojawił się dyrektor chóru, Ołeksandr Koszyc.

Publiczność głośno klaskała.

Koszyc uklonił się z godnością, wykonał ruch ręką, jakby prosił o głos.

— Panie i panowie! Dzisiaj po raz pierwszy wykonamy nowy utwór tulczyńskiego kompozytora i folklorysty Mykoły Dmytrowycza Łeontowycza... — Koszyc wyciągnął rękę w stronę, gdzie siedział kompozytor.

Publiczność ponownie zaczęła bić brawo. Riabkow, podobnie jak wszyscy inni, odruchowo spojrzał tam, gdzie wskazywał dyrygent.

Ze środka pierwszego rzędu niechętnie wstał szczupły blondyn, odwrócił się do publiczności, nieśmiało kiwając głową we wszystkich kierunkach — nie kłaniając się, ale raczej uciszając hałas. Usiadł, pochylił głowę i skrzyżował palce obu dłoni na kolanach.

Jego przyjaciel, Kyryło Stecenko, pochylił się do niego i szepnął mu coś do ucha.

— ...kołędę „Szczedryk”! — kontynuował Koszyc.

Riabkow ziewnął pełnymi ustami i zakrył je dłonią: wczorajsza bezsenna noc, podczas której faktycznie planował słynną pętlę Immelmana, zrobiła swoje. Pomyślał, że nie ma tu nic do roboty i że ma wystarczająco dużo informacji na ironiczne uwagi, których będzie się od niego jutro oczekiwać.

Zaczął powoli wydostawać się spod gęstwy ramion i pleców, które przyciskały go do ściany.

— ...występują studenci Szkoły Muzyczno-Dramatycznej imienia Mykoły Łysenki. Proszę, powitajcie ich! — ogłosił dyrygent, zmuszając Riabkova do odwrócenia się w stronę sceny.

Rozległy się gorące oklaski.

A w pierwszym rzędzie, przed elegancko ubranymi chórzystami, znienacka pojawiła się czarno-biała gromadka młodych kobiet.

Wleciały na scenę, jakby dopiero co przyszły z mrozu — o zaróżowionych policzkach, zarumienione z podniecenia, szybkie, podekscytowane. Prędko ustawiły się w szeregu przed starszymi i stanęły tam, wbijając wzrok w dłonie dyrygenta. Wszystkie były śliczne, naprawdę — „takie dziewczyny...”.

A w centrum była ta, która sprawiła, że Iwan Riabkow zrobił trzy decydujące kroki do tyłu. Wow!

Jej włosy były gładko zaczesane i przypominały ziarna zboża. Wyglądała, jakby...

Riabkow wziął trzy gorące oddechy: ...jakby właśnie wstała z łoża miłości. Sprężyste czarne loki opadały jej na ramiona i spływały w dół. Jej źrenice zdawały się osadzone w niebieskich diamentach (jeśli coś takiego istnieje).

„Twoje oczy są jak morze...”, przypomniał sobie Riabkow i rozgniewał się na siebie: nie wystarczyło cytować wierszy miłosnych. Ale nawet z daleka te oczy były mylące. Cholera!

Dyrygent machnął rękami w powietrzu...

*Щедрик, щедрик, щедрівочка,
Прилетіла ластівочка,
Стала собі щебетати,
Господаря викликати!*

Chór odpowiedział jednogłośnie, jakby każda nuta była przywiązana do palców dyrygenta.

*— Вийди, вийди, господарю,
Подивися на кошару,
Там овечки покотились,
А ягнички народились...*

Głosy nabrały rozpędu, urosły jak drzewo w krętej polifonii i zbiegły się w jednym punkcie, by ponownie uformować niewidzialny, niekończący się spiralny ruch w powietrzu.

Proste słowa płynące z ust chórzystów w połączeniu z melodią wydawały się proroczym objawieniem. Riabkow, wraz z publicznością, wstrzymał oddech.

Starożytny pogański tekst, zupełnie niezwiązany z obecną zimą, w niewytłumaczalny sposób mówił w każdym słowie o... narodzinach Chrystusa.

Co to za bzdury? Jaka jaskółka? Jaka owca? Jaka gospodyni o czarnych brwiach? Co to ma wspólnego z czymkolwiek? Co ten zestaw prostych słów ma wspólnego z taką rozkoszą?

Riabkow wpatrywał się w czarnowłosą rusałkę i zdał sobie sprawę, że to ona jest uosobieniem magii, którą czuł! W jej oczach, w jej ustach, z których wydobywały się jaskółki, owce i cała seria innych niesamowitych dźwięków, a słowa były tylko kodem, do którego klucz znajdował się w jej piersiach, które unosiły się pod białą bluzką.

Ale nie wszyscy, jak Iwan Riabkow, patrzyli tylko na nią.

Zachwyt, radość, euforia, skurcz, który ścisnął mu gardło, mimowolny ruch warg w rytm śpiewu — to właśnie panowało w sali. Riabkow rozejrzał się i spojrzał na chłopca obok siebie, który również przyciskał się do ściany, prawie stojąc na palcach.

Poruszał ustami jak w modlitwie, z ręką położoną na sercu.

Riabkow uśmiechnął się. Ale chciał też przycisnąć dłoń do piersi, chłonąc „rusałkę” wzrokiem.

*В тебе товар весь хороший,
будеш мати мірку грошей,
хоч не гроші, то полова,
в тебе жінка чорноброва.*

Riabkowowi wydawało się, że wraz z przeciągiem do sali wleciała jaskółka (ktoś otworzył drzwi). I to niejedna!

Milion jaskółek trzepotało i poruszało się w jego gardle, sercu, a nawet nerkach.

Nie zauważył, że blondyn chwycił się rękawa jego munduru, jakby miał upaść.

*...Щедрик, щедрик, щедрівочка,
прилетіла ластівочка.*

Pomimo polifonii każdy głos odgrywał swoją unikalną rolę, tak jakby każdy z wykonawców mówił zarówno o tym, co ogólne, jak i o czymś intymnym i osobistym. Chór opierał się na skomplikowanych kombinacjach dźwiękowych, a jednocześnie...

Jednocześnie melodia składała się z czterech dźwięków. Nawet z trzech! Riabkow był dobry z matematyki, jeśli nie z niczego innego!

Śpiew ucichł natychmiast, wraz z ruchem dyrygenta, który zdawał się chwytać melodię tysiącami niewidzialnych nici i odcinać je.

Publiczność zamarła na kilka chwil, czekając na ciąg dalszy. A potem wszyscy, jak jeden mąż, poderwali się z miejsc i zaczęli bić brawo, krzycząc: „Encore! Encore!”. Publiczność szalała i skandowała zapamiętane — „Więcej! Więcej! Więcej!!!”.

Koszyc uklonił się.

Loki ruszałki z pierwszego rzędu opadały falą na jej twarz, gdy kłaniała się wraz ze wszystkimi. Zrobiła to jednak z taką gracją, że Riabkowowi wydawało się, jakby zanurzała się w wodzie pod lśniąca falą własnych włosów.

Publiczność oszalała, wywołując autora.

W pierwszym rzędzie ponownie stanęła szczupła postać kompozytora.

Uklonił się z nieśmiałym uśmiechem. Ten dziwny uśmiech rozświetlił salę, jakby przyleciał anioł. Oczy chórzystów były skupione na nim, na jego uśmiechu, jasnych oczach, na postaci, która wznosiła się ponad morzem głów z powściągliwym majestatem.

Policzki młodych śpiewaków płonęły.

Koszyk podniósł ręce, a publiczność krzyknęła.

Riabkow, krztusząc się, zaczął kierować się do wyjścia. Miał dość! I tej muzyki. I duszenia się. I tej dziewczyny! Z każdym krokiem w kierunku wyjścia uchodziło z niego życie, jakby tracił siły, jakby powietrze uciekało z niego jak z balonika. Muzyka odebrała mu resztkę wiary w wartość jego życia. I muzyka. I dziewczyna. Ponieważ, połączone w jedną całość, były nieosiągalne. Wiedział jednak na pewno: od teraz nie będzie już innej! Będzie należeć do niego. I to nie tylko jako wspomnienie.

Wlała się w niego jak trucizna do ucha ojca Hamleta, przeniknęła do krwiobiegu, zaiskrzyła w każdej komórce jego ciała i osiadła jako gorący punkt w pobliżu splotu słonecznego. Trucizna. Narkotyk. Nieznośny ból.

Riabkow wybiegł na ulicę, zapominając o czapce. Każdy płatek śniegu, który spadał z nieba, miał kształt jaskółki i ranił policzki swoim ostrym skrzydłem. Blondyn w pierwszym rzędzie wydawał mu się bogiem, który przeszedł przez morze głów jak po ziemi i wziął je w posiadanie bez żadnego wysiłku.

— Cztery nuty! — mruknął Riabkow. — Do cholery, cztery nuty... Gówno prawda!!!

*Dom opieki, USA.
Grudzień 1997.*

— Byłem na tym koncercie!

Zdarzyło się to w drugim roku wojny, kiedy Kijów był przepełniony uchodźcami, a sklepy i placówki edukacyjne zamieniono na magazyny wojskowe i szpitale.

Miasto było przesiąknięte zapachami prochu, płaszców zbutwiałych w okopach, tytoniu i dymu z ulicznych ognisk rozpalanych przez bezdomnych. Ale mimo to świeża, wilgotna warstwa śniegu wisiała w powietrzu jak strzępy wypranej gazy, wchłaniając czarną krew niespokojnych nocy.

W tym czasie, podobnie jak wielu innych studentów, pracowałem w kijowskim oddziale Komitetu Wielkiej Księżnej Tatiany Nikołajewny, gdzie udzielaliśmy pomocy uchodźcom i rannym, którzy przybyli do Kijowa, uciekając przed wojną.

Tak, byłem na tym koncercie.

Wywarło to na mnie niezapomniane, niemal mistyczne wrażenie. Wydarzenie, które stało się punktem wyjścia dla mojego życia.

Ale zanim wyjaśnię dlaczego, warto powiedzieć, jak znalazłem się tego dnia w tym miejscu.

...Mój ojciec, Pawło Jurijowycz, służył w majątku baronowej von Mekk w Brajłowie. Był ogrodnikiem. Mieszkałem w tym majątku z rodzicami do ósmego roku życia.

Teraz wydaje mi się, że znajdował się w samej posiadłości baronowej! Ale najprawdopodobniej była to zwykła oficyna dla służby. Wszystko przeminęło i straciło na znaczeniu, zamieniając się w legendę. Niemniej jednak wspomnienie ferii zimowych, które organizowano dla miejscowych dzieci nawet po śmierci baronowej, wciąż żyje we mnie, jakby to było wczoraj.

Te wspomnienia pojawiają się przed moimi oczami niczym szkatułka na biżuterię wyłożona aksamitem: otwierasz wieczko i od razu czujesz zapach

pierwszego snu, a w środku mała baletnica wiruje do prostej, mechanicznej muzyki...

Jak klucz przekręca się w podświadomości i otwiera wszystkie sekretne zakamarki pamięci — te, w których widzisz siebie jako dziecko. Łuski czasu opadają, słuch się wyostza, wzrok rejestruje wszystko tylko w jasnych kolorach, a klatkę piersiową wypełnia uczucie szczęścia — niesamowitego, czarującego, oślepiającego szczęścia. A ty latasz! W końcu to szczęście unosi cię ponad wszystko, co ziemskie. Do białego nieba, gdzie rodzi się śnieg.

On spada, a ty lecisz.

Mechaniczna baletnica obraca się i kiwa głową: nie ma śmierci! Te dziecięce ferie zimowe, tak odległe jak iskra, która odleciała od ognia i świeci w ciemności, są jedyną latarnią, na którą mogę patrzeć bez strachu.

...Święta były głównie muzyczne.

My, miejscowe dzieci, tańczyliśmy, trzymając się za ręce, i dostawaliśmy torby ze słodyczami, które piętrzyły się pod wspaniałym świerkiem. I wychodziliśmy szczęśliwi.

Zjadłem słodycze po drodze do ganku. Ale muzyka pozostała we mnie aż do lata!

Dużo później dowiedziałem się, że była to muzyka Piotra Ilkowicza Czajki. Czyli Czajkowskiego...

Moje krótkie dzieciństwo na osiedlu wypełniał zapach róż latem i cierpki aromat zwiędłych liści jesienią. I było przesycone muzyką. Muzyka wypełniła moją bardzo młodą duszę dorosłym smutkiem i gorącym pragnieniem zrobienia czegoś równie wiecznego i pięknego. Czegoś, co odróżniłoby mnie od innych, co sprawiłoby, że podążyliby za mną, uwierzyliby mi i pokochali mnie.

Czegoś, co odróżniałoby mnie od innych, co sprawiłoby, że podążyliby za mną, uwierzyliby mi i pokochali mnie...

Pokochali bezwarunkowo. Teraz zdaję sobie sprawę, że w tamtym czasie tęskniłem za miłością, której prawdopodobnie nie otrzymałem od swojego otoczenia. Mój ojciec był surowym człowiekiem, a matka zawsze chorowała.

Kiedy zmarła, wysłano mnie do Markiwki w obwodzie winnickim, gdzie mieszkał mój dziadek.

Nie mieszkalem tam dlugo, okolo dziesieciu lat, poniewaz moj ojciec uwazal, ze powinienem zdobyc wyksztalcenie, i wyslal mnie na studia do Winnicy.

Ale wzescniej spotkalem innego muzyka, w ktorym zakochalem sie do szalenstwa, ze skurczami w gardle i niepohamowanym pragnieniem, aby przynajmniej dotknac sakramentu. W Markiwce byl pewien ksiazdz, proboszcz, ojciec Dmytro.

Gral na wiolonczeli, skrzypcach i gitarze oraz prowadzil maly chor zlozony z miejscowych nastolatkow.

Spiewalem w chorze kościelnym, gdzie bylem najmłodszy.

Pewnego dnia do wioski przybyl syn ksiedza, o ktorym mowilo sie, ze jest kompozytorem, zbieraczem folkloru i nauczycielem. Przyjechal z Donbasu, gdzie uczyl muzyki w szkole kolejowej.

Tak wiec rankiem pewnego letniego dnia tysiac dziewiecset osmego roku ojciec Dmytro przybyl na probe ze swoim synem.

To bylo niezwykle wydarzenie!

Dziewczyny w gornym rzędzie — slyszalem to! — szeptaly, ze jest przystojny, dyskutujac o niebieskich oczach, ktore swieciły jak oczy Jezusa na ikonie lezacej pod szklem oltarza.

Ojciec Dmytro poprosil swojego syna o wygloszenie wykladu.

Tego dnia odnalazlem swojego Boga...

Mój spiew byl kiepski.

Pewnie dlatego, ze tak bardzo staralem sie zwrócic na siebie uwage, wylapac choc jedno jego spojrzenie czy ruch reki, ktorym wydobywal z nas dzwieki.

A one wyplywaly z nas jak lawa! Spiewalismy jak szaleni, jakby ten wlóczegowski syn ojca Dmytry posrebrzyl nam gardla.

Podczas godzinnej proby wszystkie dzwieki swiata mieszaly sie w mojej glowie niczym morskie fale.

Podazalem za nimi jak lodz. Nie bez powodu mowi sie o „morzu dzwiekow”. A morza mozna sluchac bez konca. Tak jak bez konca mozna patrzec na ogien, obserwowac ubierajaca sie kobiete czy wpatrywac sie w nocne niebo.

Ale wszystko to jest rowniez zwiazane z dzwiekami. Nie ma ciszy.

Idealnej ciszy!

Życie gra swoją własną symfonię nawet pod ziemią! Wystarczy wbić łopatę i odwrócić warstwę, by się o tym przekonać. Świat jest zaplątany w dźwięki jak krwotoki.

Nie możesz się przed nimi ukryć, nie możesz uciec, nawet jeśli zakryjesz uszy.

Ale oto, co sobie wtedy uświadomiłem: te dźwięki można zapisać, można w nie tchnąć rytm, można je ułożyć w określonym porządku i nadać im harmonię, ukształtować w partytury.

Wróciłem z kościoła jak pijany.

I zagubiony.

Ponieważ zdałem sobie sprawę, że nie mam takiego daru. Mam tylko miłość do dźwięków.

Nic poza nią. Zupełnie nic. Zrozumienie tego jest jak... jak doświadczenie nieodwzajemnionej miłości.

Po tej jednej próbie w kościele zdałem sobie sprawę, że moje marzenie o bezwarunkowej miłości zostało już spełnione przez kogoś innego — tego mężczyznę o jasnych oczach i palcach, do których przywiązane były nasze głosy.

Potem...

Potem pojechałem do Kijowa.

Wstąpiłem na Uniwersytet Świętego księcia Wołodymyra na Wydział Historii i Filologii, żeby studiować folklor.

A ten koncert...

Nigdy wcześniej nie słyszałem jego utworów — a tu cały koncert!

Marzyłem, żeby do niego podejść, powiedzieć, że jesteśmy rodakami, i coś jeszcze, co sprawiłoby, że powiedziała by do mnie choć jedno słowo. Ale po „Szchedryku” ten śmiały pomysł wyleciał mi z głowy i zdałem sobie sprawę, że nigdy się na to nie odważę.

Zresztą, po co?

Te dźwięki były dla mnie wystarczające, ponownie mnie pochłonęły i sprawiły, że poczułem swoją nieistotność.

W rzeczywistości wszyscy jesteśmy nieistotni wobec prawdziwej sztuki. Unosi nas ona do nieba, ale także sprowadza na grzeszną ziemię w ten sam bolesny sposób.

Zwłaszcza tych, którym Pan odmówił talentu...

*Kijów,
25 grudnia 1916.*

Pokój numer dwanaście w hotelu Continental był dość zimny.

Pokojówka nie spieszyła się z przyniesieniem zamówionej herbaty — cała uwaga personelu skierowana była na pokoje, w których przebywali funkcjonariusze po leczeniu w szpitalach.

Czasami trwały rozmowy do rana. Czasami burzliwe noce były przerywane wezwaniem żandarmerii.

Кінець безкоштовного уривку. Щоби читати далі, придбайте, будь ласка, повну версію книги.

ridmi
ТВІЙ УЛЮБЛЕНИЙ КНИЖКОВИЙ

КУПИТИ